

30.12.2018 \ Opera Wrocławska

Muzyczne przyjemności Bernsteina

Jacek Marczyński \ Osobliwe to dzieło, na przestrzeni trzech dekad poddawane ciągłym przeróbkom. Rzadko się zdarza, by po tak licznych i rozmaitych zabiegach ostateczny efekt był satysfakcjonujący, tymczasem *Kandyd* zadziwia humorem, inteligencją i, oczywiście, muzyką. Leonard Bernstein przeszedł z tym utworem długą drogę, mając do pomocy Hershy'ego Kaya, który z nim dokonywał orkiestracji czy dyrygenta Johna Mauceriego. To on w pewnym momencie zaprowadził ład w kolejnych wersjach.

Kandyd narodził się jako operetka komiczna. Gdy pierwsze wystawienie poniosło klęskę, został przerobiony na musical, a ostateczny kształt autoryzowany przez Leonarda Bernsteina w roku 1989, czyli trzydzieści dwa lata po prapremierze, wydaje się najbliższy angielskiej operetce Gilberta i Sullivana i francuskiej operze komicznej. Takie przynajmniej można odnieść wrażenie w Operze Wrocławskiej, gdy spektakl prowadzi Marcin Nałęcz-Niesiołowski. Lekkość i dynamizm, z jakim orkiestra tego teatru traktuje partyturę, to podstawowy atut zaprezentowanego tam *Kandyda*. Wystarczy słuchać i oddać się przyjemności odnajdywania smaczków, jakie wydobywa z muzyki Marcin Nałęcz-Niesiołowski z zespołem: *Pieśń o syfilisie* wydaje się przeniesiona z *Piratów z Penzance* Gilberta i Sullivana, aria Kunegundy to zabawa arią z klejnotami z *Fausta* Gounoda. Ale jest też tango Staruszki, kuszące iberyjskimi odniesieniami, powracający kilkakrotnie bachowski chorał, zadziorna polka, barkarola niczym z *Opowieści Hoffmanna* Offenbacha i religijne *Alleluja*.

W przyrządzonym przez Leonarda Bernsteina koktajlu orkiestra Opery Wrocławskiej czuje się świetnie, a przecież tylko z częścią tych gatunków była wcześniej dobrze obeznana. Przed premierą dyrektor Marcin Nałęcz-Niesiołowski zapowiadał półsceniczną prezentację *Kandyda*. Niepotrzebnie się asekurował, bo Hanna Marasz poradziła sobie z niedostatkiem środków finansowych oddanych do jej dyspozycji. W pierwszej samodzielnej pracy reżyserskiej (do tej pory była asystentką innych inscenizatorów) potrafiła wykreować dynamiczne, zwarte widowisko. Kto zna literacki pierwowzór – oświeceniową powieść *Kandyd* Woltera – wie, że podstawowa jest w niej nieustanna zmienność sytuacji. To samo trzeba osiągnąć na scenie, z czym Marasz poradziła sobie sprawnie, choć stać ją było na kilka rekwizytów i multimedialnych projekcji. Ogromną rolę odegrał chór, błyskawicznie wcielający się w zbiorowość z różnych stron świata i dobrze wokalnie przygotowany przez Annę Grabowską-Borys.

Reżyserka starannie poprowadziła wykonawców, a przewija się ich przez scenę ponad trzydziestu! W obsadzie niepremierowej, którą oglądałem (6 stycznia), soliści kreujący główne postaci nie mieli większych problemów z mówionymi dialogami, gorzej było w partiach wokalnych. Galina Benevich wyśpiewała wszystkie karkołomne koloratury arii Kunegundy, ale uczyniła to głosem o brzydkiej metalowej barwie i płaskim dźwiękiem. Jędrzej Tomczyk *Kandyda* zamienił na bezbarwnego operetkowego amanta, Szymon Komasa nie bardzo odnalazł się w roli filozofa Panglossa. Ciekawsze okazywały się postaci drugiego planu, na czele z żywiołową Staruszką Barbary Bagińskiej. —